

**KLASYKA
KRYMINAŁU
Z JOHNEM
REBUSEM**

IAN RANKIN

**TERRORYŚCI, POSPOLICI GANGSTERZY I SZALEŃCY.
ISTNE PANDEMONIUM, KTÓREGO NIKT NIE OGARNIE...
NO, MOŻE REBUS.**

MIECZ I TARCZA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
MORTAL CAUSES

Copyright © John Rebus Limited 1994
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Dagmara Łata 2012

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki i serii: Agnieszka Drabek

Zdjęcia na okładce: © Dave Wall/Arcangel Images (*postać na moście*);
Volodymyr Baleha/Shutterstock (*ptaki*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



MÓGŁ SOBIE KRZYCZEĆ, ILE chciał.

Byli pod ziemią, w miejscu, którego nie znał, ciemnym i prastarym, oświetlonym jedynie żarówką. Wymierzano mu karę. Krew kapiała na posadzkę. Przez oddechy otaczających go mężczyzn przebijały się dochodzące z oddali głosy. Pomyślał o duchach. Lecz to były piski i śmiechy, odgłosy świadczące o udanym wieczorze. Dla niego nie był udany.

Dotykał ziemi gołymi stopami. Buty i skarpety zgubił, gdy ciągnęli go po schodach. Przeżywał męczarnie. Ale na to się nie umiera – nie trwają wiecznie. Zastanawiał się, czy jeszcze będzie mógł chodzić. Pamiętał lufę karabinu przytkniętą z tyłu do kolana i wysyłającą fale energii wzdłuż nogi.

Oczy miał zamknięte. Gdyby je teraz otworzył, na pewno zobaczyłby smugi własnej krwi na białej ścianie, która jakby na niego napierała. Palce stóp wciąż wisiły nad ziemią, całe unurzane w ciepłej krwi. Kiedy próbował coś powiedzieć, czuł na twarzy pękającą skorupę wysuszonych łez i potu.

To dziwne, jak różnie może się potoczyć ludzkie życie. Możesz być otaczany miłością dzieckiem, a i tak wyrośniesz na drania. Możesz mieć potwornych rodziców i mimo to zostaniesz wspaiałym człowiekiem. Jego życie nie

odzwierciedlało żadnego z tych modeli. A może oba, bo był równie kochany, jak zaniechany. Jako sześciolatek ścisnął dłoń wielkiego mężczyzny; powinno ich było łączyć głębsze uczucie, ale tak się nie stało. Gdy miał dziesięć lat, jego matka wyglądała już na zmęczoną, kiedy, pochylona, myła naczynia. Nie wiedząc, że syn stoi w drzwiach, przerywała pracę, by oprzeć dłoń na brzegu zlewu i odpocząć. W wieku trzynastu lat przeżył inicjację w gangu: brzegiem talii kart do gry zdierali mu skórę z knykci. Cała jedenastka robiła to po kolei. W końcu przestało boleć.

Usłyszał szuranie nóg i lufa znalazła się przy jego karku, wysłała kolejne fale. Jak coś może być tak zimne? Gdy nabierał powietrza do płuc, zabołało go w piersi. Ale ból nie może być już gorszy, niż był wcześniej. Przy jego uchu ktoś odetchnął ciężko, a potem znowu wypowiedział te słowa.

Nemo me impune lacessit.

Otworzył oczy, żeby spojrzeć na duchy. Siedziały dokoła długiego prostokątnego stołu w wypełnionej dymem tawernie i unosiły kielichy pełne wina i piwa. Młoda kobieta siedziała przygarbiona na kolanie jednonogiego mężczyzny. Kielichy z nóżką, ale bez podstawy można było odstawić dopiero po ich opróżnieniu. Wzniesiono toast. Bogaci zbratali się z biedakami. W mroku tawerny zniknęły wszelkie podziały. A potem wszyscy zwrócili się w jego stronę.

Próbował się uśmiechnąć.

Nie usłyszał końcowej eksplozji. Jedynie ją poczuł.

Rozdział 1

TO BYŁA NAJPRAWDOPODOBNIJ NAJGORSZA sobotnia noc roku i pewnie dlatego służbę miał właśnie inspektor John Rebus. Już Bóg o to zadbał. Tego popołudnia przy Easter Road odbył się mecz pomiędzy drużynami Hibsów i Heartsów. Fani powracający na zachodnie przedmieścia zatrzymywali się w centrum miasta na drinka i chłonili atmosferę festiwalu.

Międzynarodowy Festiwal w Edynburgu był zmorą Rebusa. Całymi latami inspektor stawiał mu czoło, starał się go unikać, przeklinał go i był przez niego usidlany. Niektórzy twierdzili, że festiwal nie pasuje do miasta, które przez większość roku wydawało się senne, przeciętne i układne. Ale burzliwa i awanturnicza przeszłość Edynburga zupełnie temu przeczyła. Festiwal, a zwłaszcza festiwal alternatywny, był inny. Jego siłą napędową stanowili turyści, a tam gdzie oni, tam i kłopoty. Razem z nimi do Edynburga ściągali kieszonkowcy i włamywacze, a kibice piłki nożnej, zazwyczaj trzymający się z dala od centrum, nagle stawali się zagorzałymi obrońcami miasta i zaciekle bronili go przed inwazją obcych, którzy okupowali stoliki kafejek wzdłuż High Street.

Tego wieczoru również nie mogło się obyć bez konfrontacji

tych dwóch grup.

– Szykuje się piekło – skomentował jeden z policjantów odpoczywających w kantynie.

Rebusa nie trzeba było przekonywać. Cele już się zapełniały i napływały kolejne doniesienia o przestępstwach. Jakaś kobieta włożyła palce pijanego męża do maszynki do mielenia mięsa. Ktoś wcisnął klej superglue do bankomatu, a następnie podważył klapkę na gotówkę, żeby dostać się do pieniędzy. Na Princes Street wyrwano kobietom kilka torebek. A gang puszkowy znowu rozrabiał.

Miał prosty przepis na działalność. Jego członkowie czekali na przystanku autobusowym i oferowali przechodniom puszki z napojami. Wyglądali na godnych zaufania, a przyjmująca napój ofiara nie mogła wiedzieć, że piwo lub cola zawierają silne środki nasenne. Kiedy mdlała, gang okradał ją z pieniędzy i kosztowności. Człowiek budził się z obolałą głową i z poważnymi problemami żołądkowymi. I na pewno biedniejszy.

Tymczasem lokalna gazeta, a nie, jak to dotąd bywało, stacja Lowland Radio, odebrała telefon o podłożeniu bomby. Rebus pojechał do redakcji przesłuchać dziennikarza, który rozmawiał z dowcipnisiem. Roiło się tam od krytyków spisujących recenzje z festiwalu. Dziennikarz przeczytał sporządzone podczas rozmowy telefonicznej notatki.

– Ostrzegł, że jeśli nie zamkniemy festiwalu, będziemy tego żałować.

– Mówił poważnie?

– I to jeszcze jak.

– Miał irlandzki akcent?

– Raczej tak.

– A może to był żart?

Dziennikarz wrzucił ramionami. Miał coś do zrobienia, więc Rebus pozwolił mu odejść. To już trzeci telefon w ostatnim tygodniu ostrzegający przed bombą. Policja traktowała wszystkie groźby poważnie. Nie mogła ich lekceważyć. Na razie te telefoniczne ekscesy nie wystraszyły turystów, ale organizatorzy musieli przeprowadzać dokładne kontrole przed przedstawieniami i po ich zakończeniu.

Rebus wrócił na St Leonard's, zdał raport komendantowi i starał się dokończyć papierkową robotę. Jak na prawdziwego masochistę przystało, lubił być w sobotę na służbie. Odkrywał wtedy inne oblicza miasta, zaglądał w jego szarą duszę. Grzech i zło nie były czarne – jak kiedyś spierał się z pastorem – ale anonimowe w swej szarości, dostrzegalne nocą na twarzach złoczyńców i malkontentów, mężów bijących żony i nożowników, czające się w błędzących oczach, egoistycznych i pozbawionych litości. Tacy jak John Rebus modlili się, by jak najmniej ludzi musiało się zetknąć z tą szarą nędzną masą.

Rebus wszedł do kantyny i powitano go jakimś dowcipem. Przykleił do twarzy uśmiech, choć nie do końca skupił się na puencie, która miała być zabawna.

– Inspektorze, a słyszał pan ten o kałamarnicy z wąsami? Wchodzi taka do restauracji i...

Rebus odwrócił się od kolegi opowiadającego żart i odebrał telefon.

– Inspektor Rebus.

Słuchając, stopniowo przestawał się uśmiechać. Potem przerwał połączenie i podniósł z krzesła kurtkę.

– Złe wieści? – spytał znajomy policjant.

– Na dziś koniec żartów.

HIGH STREET WYPEŁNIŁ SIĘ TŁUMEM. Młodzi ludzie kręcili się, starając się wzbudzić w przechodniach entuzjazm dla teatrów ulicznych, które wspierali. Wspierali? Najprawdopodobniej grali w nich główne role. Z zapalem wciskali ulotki o przedstawieniach do rąk pełnych już podobnych świstków.

- Tylko dwa funciaki, najlepsza cena festiwalu!
- Takie przedstawienie już się nie powtórzy!

Żonglerom i aktorom z pomalowanymi twarzami towarzyszyła kakofonia dźwięków. Bo gdzie indziej na świecie spotkałyby się dudy, bandzo i piszczałki we wspólnej bitwie z piekła rodem?

Mieszkańcy twierdzili, że tegoroczny festiwal jest spokojniejszy niż poprzedni. Ale powtarzali tak od zawsze. Rebus zastanawiał się, jak wyglądał festiwal w swych najlepszych latach. Dla niego już teraz było zbyt tłumnie i głośno.

Mimo ciepłej nocy nie opuścił szyb w samochodzie. Za wycieraczki wciąż wtykano mu ulotki, które ograniczały widoczność. Jego protesty spotykały się z uśmiechami niezmordowanych studentów szkół teatralnych. Dochodziła dwudziesta druga i jak to w lecie w Szkocji, dopiero się ściemniało. Wyobraził sobie siebie na bezludnej plaży lub na szczycie góry, gdzie mógłby zostać sam ze swoimi myślami. Kogo on oszukiwał? Zawsze był z nimi sam. A teraz zaczął myśleć o drinku. Za godzinę, dwie bary zaczną się pozbywać klientów, chyba że złożyły podanie o wydłużenie czasu otwarcia w dniach festiwalu.

Zbliżał się do budynku City Chambers, naprzeciwko katedry Świętego Idziego. Skręcił z High Street w kierunku kamiennych łuków. Stojący przed jednym z nich mundurowy

rozpoznał inspektora, skinął głową i ustąpił mu drogi. Rebus wjechał na mały parking, zatrzymał się za radiowozem, wyłączył silnik i wysiadł.

– Dobry wieczór, inspektorze.

– Którędy?

Policjant pokazał głową drzwi obok łuku przylegającego do bocznej ściany budynku. Przy drzwiach czekała młoda kobieta.

– Inspektorze. – Skinęła głową.

– Witam, Mairie.

– Prosiłem, żeby się odsunęła – powiedział mundurowy. Mairie Henderson zignorowała go. Popatrzyła na Rebusa.

– Co się dzieje? – spytała.

Puścił do niej oko.

– Przecież zawsze spotykamy się w tajemnicy, prawda?

Zmarszczyła brwi.

– No dobrze, żartowałem. Wybierasz się na przedstawienie?

– Wybierałam się, dopóki nie zobaczyłam tego zamieszania.

– Masz wolne w sobotę, prawda?

– Dziennikarze nie mają dni wolnych, inspektorze. Co znajdę za tymi drzwiami?

– Widać przez szyby, Mairie. Popatrz.

Przez szyby można było zobaczyć tylko mały podest z kolejnymi drzwiami. Kiedy je otwarto, ukazał się fragment schodów prowadzących na dół. Rebus odwrócił się do mundurowego.

– Potrzebny nam odpowiedni kordon, synu. Wzdłuż łuków, tak żeby odgrodził nas od turystów, zanim zaczniemy show. I bądźmy na wszelki wypadek w kontakcie radiowym.

Przepraszam, Mairie.

Rebus wyminął kobietę, otworzył drzwi i zamknął je za sobą. Usłyszał głosy. Przy pierwszym zakręcie napotkał trójkę młodych ludzi, dwie nastoletnie dziewczyny i chłopaka. Siedzieli na ziemi, dziewczęta drżały i płakały. Nad nimi stali posterunkowy i lekarz. Spojrzeli na nadchodzącego Rebusa.

– To jest inspektor – poinformował nastolatków policjant.
– W porządku, my wracamy, a ta trójka zostaje.

Rebus, przeciskając się obok młodych ludzi, zauważył zmartwione spojrzenie lekarza. Puścił do niego oko, dając mu do zrozumienia, że jakoś sobie z tym poradzą. Ten nie był jednak tego taki pewien.

Inspektor, lekarz i mundurowy zeszli jeszcze niżej. Ten ostatni niósł latarkę.

– Tu jest elektryczność, ale brakuje żarówek – wyjaśnił.

Szli wąskim korytarzem, którego sufit dodatkowo obniżały przewody grzewcze i wentylacyjne oraz rury. Na ziemi leżało gotowe do montażu rusztowanie.

– Wie pan, inspektorze, gdzie jesteśmy? – spytał posterunkowy.

– W Mary King's Close – odparł Rebus.

Nigdy wcześniej tu nie był, ale znał podobne stare ulice biegnące pod High Street. I wiedział o istnieniu Mary King's Close.

– Podobno na początku siedemnastego wieku szalała tu dżuma – powiedział posterunkowy. – Ludzie umierali albo wyprowadzali się stąd i już nigdy nie wracali. Dlatego zasypano wyloty ulicy, a po latach stawiano budynki nad nią. – Skierował światło latarki na sufit, który znajdował się w tym miejscu trzy lub cztery piętra nad nimi. – Widzicie ten marmurowy blok? To podłoga budynku City Chambers.

– Uśmiechnął się. – Zwiedzałem te podziemia w zeszłym roku.

– Niesamowite – rzucił lekarz, po czym zwrócił się do Rebusa: – Jestem doktor Galloway.

– Inspektor Rebus. Dziękuję za szybkie przybycie.

– Jest pan znajomym doktor Aitken, prawda? – spytał lekarz.

Tak, Patience Aitken. Pewnie siedzi teraz w domu z podwinętymi nogami, na kolanach trzyma kota, w ręce jakąś krzepiącą lekturę i słucha nudnej muzyki klasycznej. Rebus pokiwał głową.

– Miałem przyjemność dzielić z nią gabinet – wyjaśnił Galloway.

Znajdowali się teraz dokładnie pod zasypianym wylotem, wąskim i stromym przesmykiem pomiędzy budynkami. Po jednej stronie drogi biegł kanał odpływowy. Po drugiej były ciemne nisze, a w jednej z nich według mundurowego znajdowała się piekarnia z zachowanymi w pełni piecami. Posterunkowy zaczął działać Rebusowi na nerwy.

Natknęli się na kolejne rury, kable elektryczne i przejścia. Odległy koniec wylotu był zablokowany przez szyb windy. Prawdopodobnie remontowano to miejsce, bo wszędzie wałały się worki z cementem, rusztowania, wiadra i łopaty. Rebus wskazał na lampę.

– Możemy ją włączyć?

Mundurowy kiwnął głową. Rebus stwierdził, że nie jest tu ani zimno, ani wilgotno. Nie dostrzegł też pajęczyn. Powietrze wydawało się świeże, a przecież znajdowali się kilka pięter pod poziomem ulicy. Wziął od posterunkowego latarkę i oświetlił nią jedno z przejść. Na jego końcu stał sedes z uniesioną drewnianą klapą. Drugie wiodło do łukowatego

pomieszczenia z bielonymi ścianami i klepiskiem.

– To sklep z winami – powiedział posterunkowy. – Rzeźnik za następnym przejściem.

Weszli tam i znów zobaczyli bielone ściany i klepisko oraz mnóstwo poczerniałych żelaznych haków wbitych w sufit, kiedyś z pewnością używanych do podwieszania mięsa.

Z jednego wciąż zwisało mięso.

Było to bezwładne ciało młodego mężczyzny o czarnych prostych włosach, ściśle przylegających do szyi i czoła. Sznur krępujący jego ręce powieszono na haku tak, że knykcie dłoni niemal dotykały sufitu, a palce nóg zwisały tuż nad klepiskiem. Kostki też miał skrępowane. Kiedy Rebus omiół latarką ściany i sufit, wszędzie było widać krew. W powietrzu unosił się zapach rozkładu, ale dzięki Bogu nie było much. Doktor Galloway przełknął głośno ślinę, a po chwili jego grdyka zaczęła drżeć w odruchu wymiotnym. Rebus starał się uspokoić. Trzymając się na dystans, obszedł zwłoki dookoła.

– Proszę mówić – zwrócił się do posterunkowego.

– Cóż, inspektorze... Ta trójka z góry postanowiła tu zejść. Miejsce zamknięto dla zwiedzających, kiedy tylko ruszyły prace, ale oni chcieli to obejrzeć nocą. Krążą historie o duchach, bezgłowych psach i...

– Skąd mieli klucze?

– Stryjeczny dziadek chłopaka, emerytowany architekt czy ktoś taki, jest przewodnikiem.

– Więc szukali duchów i znaleźli ciało.

– Właśnie. Wybiegli na ulicę i trafili na mnie i na Andrewsa. Na początku myśleliśmy, że nas nabierają.

Rebus już go nie słuchał, a kiedy po chwili się odezwał, nie zwracał się do posterunkowego.

– Ty mały biedny sukinsynu, zobacz, co ci zrobili.

Chociaż przepisy tego zabraniały, pochylił się i dotknął włosów martwego mężczyzny. Wciąż były wilgotne. Prawdopodobnie zmarł w nocy z piątku na sobotę i miał tu wisieć cały weekend.

– Co pan o tym myśli, inspektorze?

– Strzały z broni palnej – odparł Rebus i spojrział na ścianę zbrzyganą krwią. – Coś naprawdę szybkiego. Głowa, łokcie, kolana i kostki. Sześciopak. – Wciągnął powoli powietrze do płuc.

Usłyszeli kroki i zobaczyli światło drugiej latarki. Przy wejściu stały dwie osoby, których sylwetki odcinały się na ciemnym tle.

– Głowa do góry, doktorze – rozległ się tubalny męski głos. Przybysz zwracał się do lekarza bezradnie kucającego przy zasypianym przejściu.

Rebus rozpoznał ten głos i uśmiechnął się.

– Doktor Curt, zawsze gotowy do akcji! – zawołał.

Patolog wszedł do pomieszczenia i uściśnił dłoń inspektora.

– Ukryte miasto, to ci dopiero odkrycie.

Za nim do wnęki weszła kobieta.

– Znacie się? – Doktor Curt zachowywał się jak gospodarz na przyjęciu. – Inspektorze Rebus, przedstawiam panu panią Rattray z prokuratury.

– Caroline Rattray. – Kobieta podała Rebusowi rękę. Była wysoka, niemal dorównywała im wzrostem. Miała długie ciemne włosy związane na karku.

– Ja i Caroline rozkoszowaliśmy się kolacją po przedstawieniu baletowym, kiedy zadzwonili. Pomyślałem więc, że ją ze sobą zabiorę. Dwie pieczenie na jednym ogniu,

krótko mówiąc.

Curt pachniał dobrym jedzeniem i winem. Para ubrana była wieczorowo. Na ciemnym żakiecie Rattray pojawiła się już pierwsza smuga pyłu gipsowego. Kiedy Rebus przesunął się, by go delikatnie strzepnąć, kobieta spojrzała na ciało i natychmiast odwróciła wzrok, czego Rebus nie miał jej za złe. Curt natomiast zbliżał się powoli ku zwłokom niczym do kolejnego gościa na przyjęciu. Zatrzymał się, by założyć plastikowe obuwie ochronne.

– Zawsze wożę w samochodzie jedną parę – wyjaśnił. – Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać. – Podszedł do ciała i zbadał głowę, po czym spojrzał na Rebusa. – Doktor Galloway już go oglądał, prawda?

Inspektor pokręcił głową. Wiedział, co się święci. Wielokrotnie widział, jak Curt ogląda ciała pozbawione głów, zmasakrowane, same korpusy lub zwęglone szczątki, a i tak zawsze mówił to samo.

– Nieboraczek nie żyje.

– Dzięki.

– Ekipa już w drodze?

Rebus pokiwał głową. Lada moment miała się pojawić furgonetka załadowana wszystkim, czego potrzebowali na miejscu zbrodni. Specjaliści, światło, aparaty fotograficzne, taśma, plastikowe torebki i oczywiście worek na ciało. Czasami przyjeżdżała ekipa lekarzy sądowych, jeżeli przyczyna śmierci była wyjątkowo trudna do ustalenia lub na miejscu panował bałagan.

– Myślę, że biuro prokuratora potwierdzi, że mamy do czynienia z podejrzeniem zabójstwa – powiedział Curt.

Rattray pokiwała głową, wciąż nie patrząc na ciało.

– Na pewno nie było to samobójstwo – wtrącił Rebus.

Caroline Rattray odwróciła się do ściany i zobaczyła na niej ślady krwi. Ruszyła w stronę wyjścia, gdzie Galloway wciąż walczył z odruchem wymiotnym, przykładając do ust chusteczkę.

– Lepiej przyniosę swoje narzędzia – rzucił Curt, przyglądając się sufitowi. – Czy ktoś wie, co to za miejsce?

– Sklep rzeźnika – poinformował go z radością w głosie posterunkowy. – Dalej są winiarnia i domy mieszkalne. Można nawet do nich zajrzeć. – Odwrócił się do Rebusa. – Inspektorze, co to jest sześciopak?

– Sześciopak? – powtórzył Curt.

Rebus wpatrywał się w wiszące zwłoki.

– To rodzaj kary – odpowiedział cicho. – Tyle tylko, że nie powinna prowadzić do śmierci. Co tam jest? – Wskazał na stopy martwego mężczyzny.

– Chyba szczur zabawiał się jego palcami – odparł Curt.

– Nie, nie chodzi mi o to.

W ziemi widniały płytkie rowki, jakby wyłobione dużym palcem u nogi. Można było odróżnić cztery wielkie litery.

– *NENO* czy *NEMO*?

– Może nawet *MEMO* – zaproponował Curt.

– Kapitan Nemo – odezwał się mundurowy. – Ten z *Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi*.

– Juliusz Verne – potwierdził Curt.

Posterunkowy pokręcił głową.

– Nie, Walt Disney.

Rozdział 2

W NIEDZIELĘ RANO REBUS i doktor Patience Aitken postanowili uciec od problemów i spędzić parę godzin w łóżku. Rebus wyskoczył tylko do sklepu po croissantsy i poranną prasę, a potem postawili tacę na pościeli i jedli śniadanie, wymieniając się stronami gazety, w której było niewiele do czytania.

Nie napisano ani słowa o potwornym znalezisku przy Mary King's Close. Informacja przedostała się do prasy zbyt późno, by opublikować ją w niedzielę. Rebus wiedział jednak, że o zabójstwie wspomni lokalna stacja radiowa, więc po raz pierwszy był szczęśliwy, gdy Patience puściła muzykę klasyczną.

Powinien skończyć służbę o północy, ale zabójstwa często zakłócały system pracy policji. Kiedy prowadzi się śledztwo w takiej sprawie, nikt nie patrzy na zegarek. Rebus jeszcze o drugiej nad ranem zajmował się zwłokami mężczyzny. Zadzwonił do szefa wydziału dochodzeniowego i do komendanta, a kiedy tylko ekipa medyków sądowych skończyła pracę, skontaktował się z laboratorium kryminalistycznym w komendzie głównej przy Fettes Avenue, nazywanej Fettes. Detektyw inspektor Flower

wielokrotnie powtarzał mu, by poszedł już do domu, zanim Rebus wreszcie posłuchał.

Prawdziwy problem z nocną zmianą był taki, że nie mógł po niej zasnąć. Tej nocy spał zaledwie cztery godziny, co w zupełności by mu wystarczyło. Ale skradanie się o świcie do łóżka, w którym leżało ciepłe uśpione ciało, było przyjemne, a zrzucanie kota z kołdry – jeszcze przyjemniejsze.

Zanim się położył, wypił kilka drinków. Wmawiał sobie, że to dla zdrowia, choć potem skrzętnie umył i schował szklanekę, w nadziei że Patience się nie zorientuje. Często narzekała na jego picie – i nie tylko.

– Dzisiaj jemy lunch poza domem – powiedziała.

– Gdzie?

– W tej knajpie przy Carlops.

Rebus pokiwał głową.

– Skok czarownicy – rzucił.

– Co?

– Carlops, czyli skok czarownicy. Jest tam duża skała, z której zrzucali kobiety oskarżane o czary. Jeśli nie wzbijała się w powietrze, byłaś niewinna.

– I martwa.

– Nie mieli idealnego wymiaru sprawiedliwości. Weźmy takie krzesło do spławiania wiedźm. Ta sama zasada.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– To po prostu niewiarygodne, jaką wiedzę mają dzisiejsi posterunkowi. – Rebus westchnął i umilkł na moment. – A jeśli chodzi o lunch... Muszę iść do pracy.

– Proszę, nie rób mi tego.

– Patience, przecież mam na głowie śledztwo w sprawie zabójstwa...

– John, jeżeli nie zaczniemy spędzać ze sobą więcej

czasu, dojdzie do kolejnego. Zadzwoń, że jesteś chory.

– Nie mogę.

– W takim razie ja to zrobię. Jestem lekarką, więc mi uwierzą.

I uwierzyli.

SPALILI KALORIE PO LUNCHU, wdrapując się najpierw na skałę Carlops, a następnie mimo porywów ostrego wiatru na pobliskie wzgórze Pentland. Kiedy wrócili do mieszkania Patience przy Oxford Terrace, przypomniała sobie, że ma jakąś zaległą biurową robotę, co oznaczało grzebanie w aktach, rozliczanie podatku lub przeglądanie bieżących numerów magazynów medycznych. Rebus pojechał więc na Queensferry Road, zaparkował przed kościołem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i nie bez satysfakcji zauważył, że do tej pory nikt nie poprawił graffiti, które zmieniło „Pomocy” w „Pomsty”.

Kościół był pusty, spokojny, chłodny i zalany kolorowym światłem wpadającym przez witrażowe okna. Rebus miał nadzieję, że zdążył, i cicho wsunął się do konfesjonału. Ktoś czekał po drugiej stronie.

– Wybacz mi, ojcze, ale nie jestem nawet katolikiem – powiedział.

– A, to ty, poganinie. Miałem nadzieję, że przyjdiesz. Potrzebuję twojej pomocy.

– Czy to przypadkiem nie jest moja kwestia, ojcze?

– Nie pyskuj, synu. Chodźmy się napić.

OJCIEC CONOR LEARY BYŁ pomiędzy pięćdziesiątym piątym a

siedemdziesiątym rokiem życia i sam nie umiał powiedzieć, bliżej której liczby się plasował. Miał zwalistą sylwetkę i mocne siwe włosy, które sterczały mu nie tylko z głowy, ale też z uszu, nosa oraz karku. Bez święceń kapłańskich byłby zapewne emerytowanym dokerem lub innym robotnikiem, w wolnych chwilach uprawiającym boks. I oddawał się tej pasji, czego niezbicie dowodziły zdjęcia i trofea. Ojciec Leary często wymachiwał rękami dla dodania siły swoim argumentom, a każdą wypowiedź kończył boksem hakiem na znak, że lepiej z nim nie zadzierać. Rebus nieraz wołałby, żeby ich rozmowy rozstrzygał sędzia.

Tego dnia ksiądz wygodnie rozsiadł się na leżaku w swoim ogrodzie. Było piękne wczesne popołudnie, z ciepłym i krystalicznym powietrzem, lekko naznaczonym morską bryzą.

– Wspaniały dzień na lot balonem – powiedział, pociągając łyk guinnessa. – Albo na skok na bungee. Na pewno mają coś takiego na Meadows z okazji festiwalu. Chętnie bym spróbował.

Rebus skinął głową, ale się nie odezwał. Jego piwo było wystarczająco zimne, by zastąpić miejscowe znieczulenie zęba. Poprawił się na leżaku, który wydawał się starszy od nich dwóch razem wziętych. Zanim usiadł, zauważył mocno wytarty materiał. Miał nadzieję, że tkanina wytrzyma jego ciężar.

– Podoba ci się mój ogród? – spytał ksiądz.

Rebus spojrzał na kwiaty i przystrzyżoną trawę.

– Nie znam się na ogrodach – odparł.

– Ja też nie. To nie grzech. Ale jest tu taki jeden, który się zna i dogląda mojego za marne grosze. – Ojciec Leary uniósł szklanekę do ust. – Powiedz, co u ciebie?

- W porządku.
- A doktor Aitken?
- Też w porządku.
- I wy ciągle...?
- Tak jakby.

Ksiądz pokiwał głową. Zauważył ostrzegający ton głosu Rebusa, więc zmienił temat.

- Kolejne zawiadomienie o podłożeniu bomby, co? Słyszałem w radiu.

- Prawdopodobnie jakiś fanatyk.
- Ale nie jesteście pewni?
- Ci z IRA zazwyczaj używają specjalnego kodu, żebyśmy wiedzieli, że mówią poważnie.

Ojciec Leary znowu pokiwał głową.

- A to zabójstwo?
- Byłem na miejscu zdarzenia.
- Nie robią sobie przerwy nawet na czas festiwalu, prawda? I co o tym myślą turyści? – Oczy księdza błyszcząły.
- Turyści powinni się wreszcie dowiedzieć prawdy – odparł Rebus nieco zbyt gwałtownie. – To był makabryczny widok.

- Przykro mi. Akurat ja nie powinienem traktować tej kwestii tak lekko.

- W porządku. W ten sposób sam się przed tym bronię.
- Słusznie – przyznał ojciec Leary.

Właśnie dlatego Rebus tak często żartował z doktorem Curtem. To był sposób na uniknięcie oczywistości, której nie da się zaprzeczyć. Mimo to wciąż miał przed oczami widok udręczonego ciała zawieszzonego pod sufitem, do tej pory niezidentyfikowanej ofiary. I wiedział, że ten obraz zostanie w nim na zawsze, jak wszystkie makabryczne

widoki, które zapamiętywał z fotograficzną dokładnością. Uciekł myślami od Mary King's Close i spojrzął na centrum miasta oświetlone tysiącem fajerwerków, wypełnione ludźmi wpatrującymi się z zapartym tchem w błękity i zielenie wieczornego nieba. Fajerwerki odpalano z terenu przed zamkiem. Kiedy w nocy wychodził z podziemi, świetlne tatuaże na niebie już zniknęły. Nie miał ochoty rozmawiać z Mairie Henderson, która na niego czekała, i zignorował jej obecność. „To nie było miłe”, rzuciła.

– To jest bardzo miłe – odezwał się ojciec Leary, patrząc na fajerwerki i ponownie moszcząc się na leżaku.

Whisky, którą Rebus wypił po przyjsciu o świcie do domu, nie wymazała z jego pamięci potwornego obrazu zmasakrowanego ciała. Co najwyżej nieznacznie zamazała kontury i w ten sposób uwypukliła najważniejszą jego część.

– Nie zatrzymujemy się tu na długo, prawda? – spytał.

Ojciec Leary uniósł brwi.

– Masz na myśli nasz ziemski żywot?

– Właśnie. Nie żyjemy wystarczająco długo, by cokolwiek zmienić.

– Powiedz to facetowi z bombą w kieszeni. Każdy z nas coś zmienia przez sam fakt bycia tutaj.

– Nie mówię o bombie, ale o tym, jak go powstrzymać.

– Chodzi ci o zawód policjanta.

– Sam już nie wiem...

Ksiądz uśmiechnął się pobłaźliwie, nie spuszczając wzroku z Rebusa.

– Jak na niedzielę jesteś dziś nieco rozgoryczony, prawda, John?

– Czy nie od tego są niedziele?

– Może dla was, synów Kalwina. Wmawiacie sobie

nieuchronność przeznaczenia, a potem stroicie sobie z tego żarty. Inni dziękują za ten dzień i jego znaczenie.

Rebus poprawił się na leżaku. Ostatnio nie przepadał za rozmowami z ojcem Learym, bo ten zbyt często mówił o nawróceniu.

– A więc kiedy przystąpimy do rzeczy? – spytał.

Ksiądz się uśmiechnął.

– Protestancka etyka pracy.

– Przecież nie jestem tutaj, żebyś mnie nawracał.

– Nie potrzebujemy takiego upierdliwca jak ty. Obawiam się, że łatwiej nawróciłbym szklankę piwa – odparł ojciec Leary i machnął ręką. – Zresztą to nie twój problem. Może w ogóle nie jest to problem. – Wygładził kant spodni.

– Zawsze możemy o tym porozmawiać.

– Zamiana ról, co? Cóż, chyba właśnie coś takiego miałem na myśli. – Gdy ksiądz wyciągnął się na leżaku, materiał naprężył się i niebezpiecznie zatrzeszczał. – Sprawa wygląda następująco. Znasz Pilmuir?

– Nie żartuj!

– Racja, głupie pytanie. A osiedle Garibaldi?

– Gar-B, najbardziej niebezpieczne miejsce w mieście, może nawet w kraju.

– Dobrzy ludzie też tam mieszkają, ale masz rację. Dlatego Kościół oddelegował tam swojego pracownika socjalnego.

– I teraz ten pracownik ma kłopoty?

– Być może. – Ojciec Leary dokończył piwo. – To był mój pomysł. Na osiedlu znajduje się budynek należący do miasta, który jest od wielu miesięcy zamknięty. Pomyślałem, że można by tam otworzyć klub dla młodych.

– Dla katolików?

– Dla jednych i drugich. Nawet dla niewierzących. Osiedle jest w większości protestanckie, lecz są tam też katolicy. Dostaliśmy zgodę i zebraliśmy trochę funduszy. Wiedziałem, że potrzebujemy do tego zadania kogoś wyjątkowego, z charyzmą. – Ojciec Leary wyprowadził cios w powietrze. – Kogoś, kto pogodziłby obie strony.

Misja niewykonalna, pomyślał Rebus. Plan ulegnie autodestrukcji w kilka sekund.

Jednym z poważnych problemów osiedla Gar-B były podziały religijne, a raczej ich brak, w zależności od punktu widzenia. Kiedyś protestanci i katolicy mieszkali na tych samych ulicach, w tych samych blokach, dzieląc w miarę zgodnie tę samą biedę. Z nadmiaru wolnego czasu osiedlowa młodzież zaczęła jednak organizować zwalczające się nawzajem gangi i wprowadziła „stan wojenny”. Każdego roku wybuchała na osiedlu co najmniej jedna regularna bitwa z policją, zazwyczaj w okolicach dwunastego lipca, święta protestantów.

– Wysłałeś więc jednostkę antyterrorystyczną? – odezwał się Rebus.

Ksiądz nie do końca zrozumiał żart.

– Skądże – rzucił z powagą. – Wysłałem młodego człowieka o wielkiej wewnętrznej sile. – Dobitnie pomachał zaciśniętą pięścią. – O prawdziwej sile duchowej. Na początku zanosilo się na katastrofę. Nikt nie przychodził do klubu, wciąż wybijano okna, pojawiały się coraz bardziej obraźliwe graffiti. I oto nagle nastąpił przełom. Prawdziwy cud. Klub stał się popularny, zwaśnione strony się pogodziły.

– Skąd w takim razie twój niepokój?

Ojciec Leary posmutniał.

– To nie było to. Myślałem, że stworzymy klub sportowy,

może pogramy w piłkę nożną. Kupiłem koszulki i napisałem podanie o przyjęcie drużyny do lokalnej ligi. Ale dzieciaki nie były zainteresowane. Chciały po prostu szwendać się po budynku. I znów nie ma równowagi, bo katolicy przestali przychodzić i rozmawiać z protestantami. – Kapłan spojrział na Rebusa. – Ale nie to jest najsmutniejsze.

Rebus pokiwał głową.

– Gangi protestanckie przejęły klub?

– Tego nie powiedziałem.

– Wiem, ale na to mi wygląda. A ten twój... pracownik socjalny?

– Nazywa się Peter Cave. Wciąż tam mieszka. Jak dla mnie za długo.

– Nadal nie widzę problemu – powiedział Rebus, choć domyślał się, o co chodzi.

– John, rozmawiałem z ludźmi z osiedla, z innych części dzielnicy. Gangi rozrabiają jak nigdy, a teraz połączyły siły i podzieliły się klubem. Po prostu lepiej się zorganizowały. Spotykają się tam i obmyślają strategię podboju osiedla.

– Przynajmniej nie okupują ulic – zażartował Rebus, lecz ojciec Leary nawet się nie uśmiechnął. – Może zamknij ten klub?

– To nie takie proste. Pomysł od początku źle rokował. Poza tym... czy zamknięcie coś zmieni?

– Rozmawiałeś z Cave'em?

– Nie chce słuchać. Zmienił się. I to mnie najbardziej boli.

– Wyrzuc go z pracy.

Ksiądz pokręcił głową.

– To pracownik świecki. Nie mogę mu niczego nakazać. Odcieśliśmy mu fundusze, ale i tak ma pieniądze na

prowadzenie klubu.

- Skąd?
- Nie wiem.
- Ile?
- Dużo nie potrzebuje.
- Czego ode mnie oczekujesz? – Tego pytania Rebus

unikał od początku rozmowy.

Ojciec Leary uśmiechnął się nieznacznie.

- Szczerze? Nie mam pojęcia. Może po prostu potrzebowalem się komuś wyżalić.

- Nie ściemniaj! Chcesz mnie tam wysłać.

- Nie, jeżeli nie będziesz chciał.

Tym razem uśmiechnął się Rebus.

- Znam bezpieczniejsze miejsca.

- Ale i znacznie gorsze, prawda?

- Nie wiesz o połowie z nich, księżulku. – Rebus jednym haustem dokończył piwo.

- Jeszcze jedno? – zaproponował ojciec Leary.

Inspektor odmówił.

- Miło tu i przyjemnie.

Ksiądz pokiwał głową.

- To mnie urzeka w Edynburgu. Nigdy nie jesteś zbyt daleko od spokojnego zakątka.

- I nigdy za daleko od jakiegoś piekiełka. Dzięki za piwo, ojcie. – Rebus się podniósł.

- Widziałem wczoraj zwycięstwo twojej drużyny.

- Skąd wiesz, że kibicuję Heartsom?

- Są protestantami tak jak ty, prawda?

- Do diabła z tobą, ojcie Leary. – Rebus się zaśmiał.

Ksiądz wstał i wyprostował się z grymasem na twarzy. Specjalnie zachowywał się jak obolały starzec. Poczciwy

stary ojczulek.

– Jeżeli chodzi o Gar-B, John – rozłożył szeroko ramiona
– to jestem w twoich rękach.

Tylko go ukrzyżować, pomyślał Rebus, po prostu ukrzyżować.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w **formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).